

po godzinach

Wędrowanie pozostanie

Kuba Część VI. Ludzie (cd.)

Kuba na tle innych krajów Ameryki Łacińskiej wyróżnia się wyższym stopniem bezpieczeństwa. Zaskoczyło mnie to i ucieszyło. Skąd się ono bierze? Przychodzi mi do głowy dość przewrotne wyjaśnienie. Być może to dziedzictwo komunizmu. Reżim, jeśli pozostawia coś dobrego po sobie, to większy szacunek człowieka do człowieka. A może to niechęć do wchodzenia sobie w drogę... Czy spotkało mnie coś niemiłego? Tak, opowiem o tym. Opisana sytuacja po latach budzi mój uśmiech i dowodzi, jak bardzo mentalność współczesnego Kubańczyka jest bliska latynoskiej, a na obietnicach Latynosów nie zawsze można polegać.

Pensjonat Delii Quevedo w Guanabo znajduje się bardzo blisko morza. Dobrze pamiętam budynek i jego usytuowanie. Trafilem tam przypadkiem. Pensjonat miał mi zapewnić odrobinę wypoczynku w ostatnich dniach pobytu, a jednocześnie stanowić bazę wypadową do zwiedzania Hawany. Chociaż z Guanabo do centrum Hawany było ponad 25 kilometrów, uznałem, że nie przeszkadza mi pokonywanie takiej odległości dwa razy dziennie, nawet korzystając z komunikacji publicznej. Zresztą gdy podróżuję sam, rzadko wynajmuję samochód. Wolę koncentrować się na otoczeniu, pejzażu, zabytkach, a nie na zawiłościach dojazdu.

Argumentem przemawiającym za wyborem Guanabo jako bazy wypadowej był, co tu ukrywać, dostęp do morza i perspektywa porannej i wieczornej kąpieli. Plaża w Guanabo nie jest oczywiście tak znana, jak ta w Varadero czy choćby Ancon pod Trinidadem, ale co tu wybrzydząć? Czułem, że zapracowałem na wypoczynek. Moja trzytygodniowa podróż przez Kubę nie dostarczyła mi wielu okazji do relaksu. Zwiedzałem dużo, przemieszczałem się często, nie unikając nawet nocnych, wielokilometrowych przejazdów. Postanowiłem więc kończyć w spokoju. Gdybym jednak, decydując się na Guanabo, wiedział, że spokoju nie zaznam i gdybym potrafił przewidzieć, czym moje przyzwolenie na wypoczynek się skończy, szukałbym schronienia w Hawanie, w zgłębku i tumulcie dużego miasta. Z przyswoitym zakwaterowaniem nie byłoby tam zresztą najmniejszego problemu. Każdy z właścicieli casa particular, w których się zatrzymywałem, dawał mi kontakt do członków swojej rodziny w stolicy. Karteczki te zachowałem na wszelki wypadek.

Taksówką do celu
Moja przystopka z Guanabo rozpoczęła się od kierowcy taksówki, wesłkowego mężczyzny o patologicznej otyłości, który stanął przede mną na hawaiskim dworcu autobusowym, gdy odbierałem bagaż. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć, dlaczego na teren dworca i strefy bagażu wpuszczano kierowców taksówek, którzy dość swobodnie krążyli pomiędzy walizkami i plecakami, cymbając na klienta. Mój kierowca był tak krępy i szero-



Hawana. Taniec w parku centralnym.

kim w ramionach mężczyzną, że na nic zdala się próba ucieczki. Odbilem się wręcz od niego, gdy dzwignąłem plecak.
— Gdzie pana zawieźć? — zapytał krótko.
— Nie mam jeszcze sprecyzowanego miejsca pobytu — odpowiedziałem zgodnie z prawdą, pogarszając tym samym swoją sytuację.
— Zaczijmy od ustalenia, w której dzielnicy chce pan mieszkać: Vedado, Miraflores, Havana vieja?
— Nie z tych rzeczy. Chcę mieszkać w Guanabo. To już ostatnia część mojego pobytu. Proszę dać mi chwilę na zastanowienie.
— Mogę pana zawieźć i do Guanabo, ale uprzedzam, to będzie drogi kurs.
Zaczęły się typowe w takich sytuacjach negocjacje. Czynilem to nawet nie dlatego, żeby zbić cenę, ale bardziej dlatego, że kierowca nie wzbudził mojej sympatii. Nie mogłem mu tego jednak powiedzieć wprost. Negocjacje okazały się skuteczne, bo po kilku minutach siedziałem w aucie. Nie pamiętam nawet, czym jechaliśmy. Przypominam sobie jedynie, że był to żółty, poradziecki samochód — moskwicz lub żiguli — mocno zdezelowany, jak zresztą większość taksówek na Kubie, niezależnie od proveniencji. Kłapa bagażnika nie domykała się i wystawał spod niej mój plecak, wrzucony pomiędzy sterę kłopotów. W taki sposób przejechaliśmy przez centrum Hawany. Defektów samochod miał oczywiście więcej, ale nie to w przytoczonej historii odegrało najważniejszą rolę.

Wygodny pensjonat, blisko plaży
Podjechałszy pod dobrze utrzymaną posesję. Delia jednak żyła, jej mąż również. Oboje przywitani mnie bardzo serdecznie. Gospodarze byli sędziwi, ale jak na swój wiek operatywni i zorientowani w interesach. Stroną bardziej aktywną i dominującą w prowadzonym biznesie była Delia. Mąż Eusebio rzadko włączał się do rozmowy, ale po chwili zrozumiałem, że powodem tego nie



Mieszkaniec Guanabo.

był brak zainteresowania, ale niedosluch.
— Może pan zamieszkać od razu — powiedziała Delia. — Cała część wypoczynkowa jest wolna. Ma pan do dyspozycji dużą łazienkę, kuchnię, taras, wielki pokój z telewizorem. Ma pan nawet osobne wejście do budynku. Proszę jednak przechodząc przez taras zmyć wcześniej piasek ze stóp. Polewaczka jest było wolnych miejsc. Kierowca najwyraźniej cieszył się tym. Coraz bardziej byłem zdany na niego. Jazda po okolicy sprawiała, że zbliżyliśmy się do wyznaczonej ceny wywoławczej.
— Dlaczego nie bierze pan pod uwagę pensjonatu Delii Quevedo?
— Tego pensjonatu nie ma w moim przewodniku.
— Szkoda, bo to chyba najlepsze miejsce w Guanabo. Rzadko tu bywam, ale wydaje mi się, że nie w ostatnich latach się nie zmieniło. Nie wiem zresztą, czy Delia żyje.
— Jeśli nie żyje, to jednak zmieniło się — próbowałem ironizować.
— Co pan tu robi? Przecież zapłaciłem za kurs.
— Dobrze, ale jak pan dostanie się stąd na lotnisko?
— Oczywiście, zamówię taksówkę.
— Ma pan ode mnie 50-procentową zniżkę. Proszę nie odrzucać oferty. Delia mieszka na kompletnym odludziu. Będzie panu trudno znaleźć chętnych.
— Niech pan się tym nie przejmuję. Jesteśmy rozliczeni. Proszę dać mi odpocząć.
— Proszę pana, mówiam kursy na przedmieścia Hawany, mówiam

kursy nocne. Niezależnie od tego, o której pan leci, przyjadę tutaj i zabiorę pana.
— Niech pan zostawi wizytówkę, ale wątpię, żebym skorzystał.
Czas w Guanabo upływał mi bardzo szybko. Gospodarze byli niezwykle opiekuńczy. Traktowali mnie jak swojego syna. Należałoby powiedzieć — czwartego, bo trzech od wielu lat mieszkało we Włoszech. Wyjechali w latach wielkiego głodu na Kubie, w pierwszej połowie lat 90. Przysyłali pieniądze, dzięki którym małżeństwo mogło zmodernizować dom i przystosować go do wynajmu. Pensjonat istniał od kilkunastu lat. Istniał na przekór wszystkiemu. Nie było go w Internecie. Zresztą, gdyby nawet był, Delia nie miała komputera i jak przyznała, nie umiała by z niego korzystać.
Gospodarze nie narzekali jednak na brak gości. Wyjątkowe położenie pensjonatu było magnesem zwłaszcza dla tych, którzy szukali spokoju w okolicach Hawany. Pokoje były czyste i bardzo wygodne. Poza tym pokusą była nieprawdopodobna lokalizacja. Tak jak sobie zamarzyłem, codziennie rano szedłem walczyć z falami na pobliską plażę. Zmywałem później piasek ze stóp przed wejściem do budynku, jak życzyła sobie Delia.
Wracając z plaży, pozdrawiałem Eusebio, który już od około ósmego rano majstrował przy swoim krążowniku. Nie widziałem, by nim jeździł, ale uniesiona kłapa i włączony silnik sprawiały wrażenie, że samochód jest w użyciu.



Autor reportażu **prof. dr hab. n. med. Mirosław Kowalski** jest zastępcą kierownika Kliniki Wad Wrodzonych Serca Instytutu Kardiologii w Warszawie. Poza kardiologią ma jeszcze wiele pasji. Autor wystawy fotograficznej „Iran — spokojne spojrzenie” w Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk oraz książki „Szkatułka pełna Sahelu — subsaharyjska ballada” o kulturach Afryki Subsaharyjskiej. Pasjonuje go również muzyka klasyczna. Jest absolwentem szkoły muzycznej I stopnia. Gra na fortepianie.

Realizowałem przede wszystkim program zwiedzania Hawany. Dojeżdżałem autobusem linii 400, który trasę z Guanabo do centrum stolicy pokonywał w niespełna godzinę. Delia wyposażyła mnie nawet w żetony do automatu biletowego, twierdząc, że mnie jako cudzoziemcowi trudno będzie je kupić. Wieczorami gospodarze zapraszali mnie do prywatnej części domu. Jadłem z nimi kolację, czasami tylko owoce. Oglądaliśmy telewizję i dość swobodnie komentowali wydarzenia polityczne.

Pora pomyśleć o powrocie
— Czy zamówiłeś taksówkę na lotnisko? — zapytała pewnego popołudnia Delia.
— Nie miałem szczęścia. Byłem dzisiaj na postój w centrum Guanabo, ale jedyny kierowca, którego spotkałem, odmówił. Powiedział mi, że ma małe dziecko i nie przyjmie kursu o takiej porze.
— Telefonował taksówkarz, który cię tu przywiozł. Chce pojechać na lotnisko.
— Dobrze, zadzwonił o niego. Jeśli przyjedzie o czwartej w nocy, już nie będę nikogo szukał.
Delia szybko sięgnęła po wizytówkę i wybrała numer. Rozmawiali krótko. Nawet nie wsłuchiwałem się w treść rozmowy. Traktowałem ustalenia z taksówkarzem jako formalność.
— Ucieszył się. Ale nie przepłacaj za ten kurs.
— Nie przepłacę. Skorzystam ze zniżki, jaką mi zaoferował. Pan nie wzbudził mojej sympatii — wyznałem Delii szczerze. — Ale mam być w końcu dowierzony na lotnisko, a nie przyjaźnić się z nim.
Ostatni dzień upłynął spokojnie. Wracając z Hawany, kupiłem bilet na autobus turystyczny i dojechałem aż do Boca. Stamtąd szedłem wzdłuż plaży kilka kilometrów, nie mogąc nacieszyć się piaskiem i ciepłą wodą. Delia znów zaprosiła mnie na kolację. Dołączyła do nas sąsiadka, która także prowadziła kiedyś pensjonat. Teraz jednak, jak twierdziła, nie ma już na to siły. Od czasu śmierci męża, spowolniła tryb życia. W czasie kolacji jednak nie sprawiała wrażenia słabnącej, kruchej istoty. Każdy temat rozmowy istniał od kilkunastu lat. Istniał na przekór wszystkiemu. Nie było go w Internecie. Zresztą, gdyby nawet był, Delia nie miała komputera i jak przyznała, nie umiała by z niego korzystać.

— Być może kiedyś go nawet widziałem — zażartowałem ku uciesze rozmówczyni. — Zawsze podziwiałem was w sporcie. A co syn robi obecnie?
— Znalazł pracę w restauracji na Florydzie. Ze sportem nie ma już nic wspólnego. Jak większość kolegów, pozostał za granicą w czasie imprezy sportowej.

Gdzie jest kierowca?
Budzik zadzwonił o trzeciej. Usłyszałem krzatanie w drugiej części domu. Delia także wstała i chciała mnie pożegnać. Wystawiłem pękaty plecak za ogrodzenie i zacząłem wpatrywać się w rozgwieżdżoną noc, pijąc mocną herbatę.
— Zaraz będzie — powiedziała Delia zza moich pleców. — Już prawie czwarta.
— Wiesz Delia, trochę się niepokoję. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że on może nie przyjechać. Po raz pierwszy w Guanabo wstałem tak wcześnie. Zobacz, nic nie jedzie.
— Spokojnie, przecież wie, że jedziesz na lotnisko. Nie sądzę, żeby był tak nieodpowiedzialny.
— Znasz go? Miałas z nim jakiś kontakt wcześniej?
— Nie pamiętam. Przywoził do mnie turystów. Ale było to pewnie kilka lat temu.
Kręcę się nerwowo wokół plecaka. Wszystko jest spakowane. Mam tylko wejść do samochodu. Torba fotograficzna z paszportem, pieniędzmi zwiisa mi na ramieniu. Samochód jednak nie pojawia się.
— Zadzwonił. Może nie zapalił auta. Jeżdź przecież jakąś ruiną...
— Nie odbiera! — krzyczy Delia.
— Włącz się sekretarka.
Idę do centrum Guanabo bez plecaka. Czuję dudnienie w głowie. Jeśli nawet potrzebowałem pół godziny wcześniej mocnej herbaty, żeby się obudzić, teraz nie już nie jest mi potrzebne. Czuję nadciągające nieszczeście. Minuty umykają jedna za drugą. Guanabo tonie w ciemnościach. Nie migocą żadne światła. Idę szybkim krokiem, choć nie wiem, czemu. Może liczę na cud. Po lewej stronie słyszę fale oceanu. Do tego cykad i moje serce oszalałe z emocji. Dochodzę do małego placzyku, na którym wyznaczono postój taksówek. Dwa dni temu rozmawiałem tu z jakimś mężczyzną. Teraz nie ma oczywiście żadnego samochodu. Ktoś nieopodal pali papierosa. Pytam

o taksówkę. Słyszę, że pierwsze mają pojawić się dopiero około szóstej.
— O szóstej? Ja muszę być wkrótce na lotnisku! Czy jest tu jakaś agencja taksówek?
— W Guanabo nie ma. Jest w Hawanie, ale musiałbyś kogoś wezwać stamtąd.
Wracam do Delii już w jakimś szaleństwie. Myśli kotują mi się w głowie. Jeśli za chwilę nie opuszczę Guanabo, samolot do Toronto odleci beze mnie. Na kolejny samolot — LOT-owski do Warszawy z pewnością nie zdążę. Strata biletu, koszty, praca. Widzę wszystko w tak czarnych barwach, jak tropikalna, kubańska noc.

Delia próbowała dzwonić kilka razy.
— On naprawdę nie odpowiada!
— pokrzykuje. — Nikt się nie pojawił! Nikt nie dzwonił! Jak ci pomóc? Jak ci pomóc? — powtarza jak w obłędzie.
— Delia, błagam, niech twój mąż zabierze mnie na lotnisko! Rozumiesz, jak to dla mnie ważne. Płacę każde pieniądze.
— Nie dojedziesz! On niewiele widzi. Od kilku lat nie wyjeżdża nigdzie poza Guanabo. Poza tym jest noc. Nocą jest mu najtrudniej.

Ratunku, ratunku...
Chodzę do sąsiadów. Budzę ich. Dzwonię zwłaszcza tam, gdzie przy posesji stoi jakiś samochód. Bez efektu. Nie odpowiadają. Nie chcą rozmawiać. Dzwonię też do drzwi kierowcy, który ma za chwilę odjechać samochodem ciężarowym.
— Nie, nie mogę. Nie pojadę samochodem ciężarowym na lotnisko José Martí. Nie wpuszczą mnie tam. Poza tym mam kurs w zupełnie innym kierunku.
— Delia, może chociaż mąż dowiezie mnie do centrum Guanabo? Może ktoś tam się pojawi? Tu nie mam żadnych szans. Jest wpół do szóstej! Samolot startuje za półtorej godziny. Moje szanse maleją — jęczę z emocji.
Eusebio wychodzi z pokoju. Delia obudziła go. Oboje rozumieją sytuację. Wrzucam plecak na tylne siedzenie. Eusebio siada za kierownicą, ja błyskawicznie siadam obok. Po chwili jednak wyskakuję. Silnik nie odpala. Jak zahipnotyzowani zaczynamy z Delią pchać pojazd. Teraz dopiero umyslałam sobie, że Delia jest w nocnej koszuli. Nie dostrzegłem tego wcześniej. To, co robimy, wygląda absurdalnie. Gdyby ktoś stał na uboczu i filmował tę scenę...

Samochód poddaje się tylko dzięki temu, że stoi na niewielkim wzniesieniu. Inaczej nie dalibyśmy rady. Buick ma ponad cztery metry długości. Silnik już warczy. Całuję Delię mimochodem. Czynie to trochę bez przekonania, bez pewności, że to rzeczywiście pożegnany pocałunek. Jesteśmy na głównej drodze do centrum Guanabo, na drodze, którą przemierzaliśmy pieszo godzinę wcześniej. Pojawiają się pierwsze samochody.
Eusebio jedzie uważnie, nie jedzie jednak bezpiecznie. Jesteśmy albo zbyt blisko osi jezdni, albo zbyt blisko rowu. Rzeczywiście nie widzi! W pewnej chwili kieruje krążownicą wprost na nadjeżdżającą

ciężarówkę. Krzyczę. W ostatniej chwili łapię kierownicę. Ściągam pojazd na bok. Trąbią na nas. Myślą pewnie, że pijani. Mam w uszach przeciągły ryk klaksonu. Eusebio znów przejmuję prowadzenie. Jedzie wolniej. Mijamy postój taksówek. Ciągłe nikogo na nim nie ma. Jedziemy dużo dalej niż wcześniej byłem w stanie dojść. Stoi przy ulicy jakiś samochód osobowy. Wokół niego trzy zgrabne dziewczyny i chłopak, chyba właściciel samochodu. Kończą imprezę. Zatrzymujemy się przy nich.

Na ostatniej prostej
— Zawieziesz mnie na lotnisko José Martí? — pytam chłopaka bez ogródek.
— Kiedy?
— Teraz. Natychmiast.
— Za ile?
— Ile chcesz?
Myśli: — 70 Euro.
— Dobrze. Jedziemy.
— Idźcie dziewczyny, mam kurs na lotnisko.
Dwie oddalają się. Jedna wręcz przeciwnie. Wsiada do środka i mówi: — Zaraz, zaraz. Widzę jeszcze coś z nim wyjaśnić.

Siadam przy niej na tylnym siedzeniu. Pochyliam się, dotykając prawie jej ucha.
— Wyjźd stąd — mówię.
— Natychmiast.
Nie krzyczę, ale cedzę przez zęby. Mówię takim głosem, że ucieka przerażona.
Ruszamy. Chłopak jedzie 150 na godzinę. Od pędu powietrza świszczy mi w uszach. Jedziemy obwodnicą Hawany. Na niektórych skrzyżowaniach gromadzą się ludzie. Wstaje dzień. Początek jest nagły, jak zwykle w tropiku. W ciągu paru minut wkraczamy w jasność. Pojawiają się pierwsze znaki Aeropuerto de José Martí. Zaczynam wierzyć, że się uda. Jeszcze parę kilometrów. Wpadam do terminalu. Krzyczę od drzwi, że lecę do Toronto. Zamykają bramkę. Urzędniczka Canadian Airlines patrzy na mnie zdumiona. Nikogo z pasażerów już nie ma przy stanowisku. Waha się. Pozwala mi jednak nadąć bagaż.

— Dobrze, zabierzemy pana. Miałam już komunikat, że kończymy odprawę. Samolot musi odlecieć o czasie. Proszę bardzo szybko iść do bramki.
Nie wiem, z jaką częstotliwością bije mi serce. Miałem jeszcze coś kupić. Zostawiłem na tę okazję trochę peso. Na zakupy nie mam już jednak czasu. Wpadam do toalety. Porządku pilnuje babcia kłozetowa. Wręczam jej wszystkie CUC, które mi pozostały. Babcia stoi jak zamurowana. Wiem, że to dla niej kilka miesięcznych pensji.
— Gracias mi amor — dziękuję kochany — słyszę wychodząc. — Que tengas buen vuelo! Dobrego lotu!

Samolot zbija się w przestrzeń. Zatacza łuk nad Hawaną. Zamykam oczy. Nie ze strachu, ale z kompletnego wyczerpania. Nie mam siły spojrzeć przez okno. Wiem, że gdzieś w dole leży Guanabo, senne miasteczko na obrzeżach stolicy, w którym miałem odpocząć.
Mirosław Kowalski



Guanabo. Targ miejski.



Zabawne mototaksówki na ulicach Hawany. Służą raczej do krótkich przejazdów w obszarze Starego Miasta.



Ruch miejski w obszarze starej Hawany.



Hawajska wytwórnia rumu — Havana club.